

ŚNIEG

*Zbyt długie patrzenie na śnieg
wywierało hipnotyczny efekt,
wysysając całą moc skupienia...*

Philip Larkin, *Zimowe królestwo*¹

Więc był dzień

Rafał Wojaczek, *Sanatorium*²

Pamiętam. Pejzaż zdawał się zmęczony i pełen melancholii. Stałem pośrodku przeznaczenia – w ciszy i samotności. Zatrzymało mnie pytanie: w jakim celu wybrałem się do lasu po sylwestrowej nocy? Właściwie nie znajduję dzisiaj wyjaśnienia, co mną powodowało. Pamiętam jednak, że leśna cisza miała w sobie nieporównywalną do niczego gęstość. I też to, że jeszcze nigdy nie odczuwałem z taką intensywnością bezpośredniości chwili. Można by rzec, że terażniejszość wypełniła sobą czas po brzegi, nie pozostawiając już miejsca dla minionego i nadchodzącego.

Wczuwałem się w tchnienie chwili, wyjątkowo odczuwalne, niczym nagły atak depresji, a nieskażona ludzką stopą powłoka śniegu narzucała zamyślenia wybiegające daleko poza noworoczną terażniejszość. Zaległe na gałęziach czapy cynkowej bieli odbijały zimowe promienie słońca, a subtelne przenikanie się światła i cienia oblekało je niebieskością przechodzącą gdzieniegdzie w ciemniejsze tony, szczerze obdarzając wzrok głębszymi pasmami szarości. Powietrze wypełniało płuca kłującymi igielkami, odświeżało umysł. Cisza, do której wyjątkowo pasował epitet: martwa (w końcu to Nowy Rok!), osiadła ciężką czapą. Brnąłem przez zasypane ścieżki, znane mi skądinąd z częstych spacerów. Teraz jednak zdawało się, że przebywam obcą krainę, powołaną do życia przez imaginację malarza dywizjonisty, czekającą tylko na dopełnienie moim spojrzeniem.

Cisza, zrazu jakby spłoszona, zdawała się nabrzmiewać oczekiwaniem na jakikolwiek ruch albo okrzyk. Ja jednak niczego nie zarejestrowałem poza skrzekiem sójek, tych barwnych meteorów przelatujących między gałęziami. Wiatr szumiał w gałęziach mową niosącą niezrozumiałe treści. Niby nic się nie działo, a jednak jakieś nieokreślone przecucie

¹ Ph. Larkin, *Zimowe królestwo*, przeł. J. Dehnel, Stronie Śląskie 2017, s. 7.

² R. Wojaczek, *Sanatorium*, Wrocław 2010, s. 123.

podpowiadało mi, że właśnie teraz następuje zmiana (jeśli nosiłem w sobie jej zapowiedź, to zaledwie uświadomioną). Coś niewyraźnego uzyskało wymierną materialność, ale cóż to mogło być, nie sposób było powiedzieć. Oczekiwania, którym przypisywałem rozstrzygające znaczenie, nagle gdzieś się rozplynęły. Tak to już jest, że pewne rzeczy zachodzą mimochodem, gdzieś z boku, ale ich przebiegi dotykające nas jakby od niechcienia, wyciskają niezatarte piętno na najbardziej żywotnych interesach.

Zagłębiałem się w dookolną biel, zmienność jej tonów przywołała skojarzenia z gnomiczną filozofią Wittgensteina. Może dlatego, że ośnieżone gałęzie narzucały się z dramatem przemijalności, ale też niepoohamowania w przesadzie ukazywanej z jakąś zawziętą nachalnością. A może apatia znieruchomiłego lasu usprawiedliwiała moje, zaskakujące nawet dla mnie, nagłe i nieokreślone emocje przebiegające cienką linią między zaskoczeniem i zniecierpliwieniem. Oczekiwałem szybkich odpowiedzi, rozwiązań o zasadniczym znaczeniu. Nie potrafiłem jednak sformułować samego pytania. A tymczasem trwałem pośrodku lasu, który zdawał się nie mieć horyzontu, tak w przestrzeni, jak w czasie. Jak długo tak chodziłem? Kilka godzin albo lata całe. To bez znaczenia. Odwieczna cisza przysiadła przede mną. Starłem się przeniknąć jej tajemnicę, wiedząc wszak, że w każdej odpowiedzi czaić się będzie nieszczerłość. A może po prostu oczekiwałem jakiegoś znaku ze strony zalegającej wszystko bieli? Jakąż miałbym przewagę – znów nachodzą mnie skojarzenia z Wittgensteinem – gdybym poznał drogę między mną a bielą. Jakie to banalne i cudowne zarazem! Na razie brnąłem przez zasy cyz. Zapadałem się w nich po uszy. Czy ta cisza była prawdziwie głęboka, czy była jedynie powierzchownym brakiem hałasu?

Las jak przeznaczenie objawiał się obcą, niechętną perspektywą, lecz ja, tak mi się wówczas zdawało, odszyfrowałem hieroglify tego Kamienia z Rosetty. W tamtym czasie to miejsce zamknięte pod kopułą szarego nieba odsłaniało przede mną głębsze sensory. Pragnąłem, żeby tak było, bowiem studiując botaniczny alfabet, nauczyłem się widzenia jako umiejętności łączenia szczegółów: sękata gałąź, przebarwiony liść, nęcąca nieznanym dziuplą czy wykrot pozostały po wichurze, osobno nie przekazują żadnych treści, co najwyżej skojarzą się z banalnością landszaftu, jednakże zestrojone w całość potrafią stworzyć nastrój tajemniczego piękna, mgielki melancholii, która unosi się nad życiem.

Rzec można: piękno jest kwestią uogólnienia, ale musi rezonować ze światoodczuwaniem obserwatora, by stało się jego pięknem, odsłaniając swą – w jego oczach – niepowtarzalność. Dlatego to, co obdarzamy mianem piękna, bywa naznaczone egoizmem, bowiem patrzący arbitralnie przypisuje obserwowanemu obiektowi wartość

estetyczną. Wyczuwana w tym rozpoznaniu nieszczerość definiuje naszą egzystencjalną ambiwalencję, bo w obiektach zachwyty tak naprawdę szukamy jedynie potwierdzenia siebie samych.

Starałem się podążać naprzód, lecz skądinąd wiedziałem, że tkwię w miejscu, zbyt pogrążony we wspomnieniach, by zmienić położenie choćby o mały krok, tymczasem świat wysforował się do przodu, w oślepiającym pędzie nie dostrzegając dławiącej go zadyszki. Beztroska rezygnacja ze stałości na rzecz radosnej prowizorki chwilowych bodźców sprawiła, że nikt nie chce marnować czasu na refleksję. Ja zaś pogubiłem się w surogatach rzeczywistości, zasklepiłem w perseweracji półautomatycznych czynności. Żywiół bezrefleksyjności wdarł się w szczelinę, jaka rozwarła się w moim życiu zawładniętym przez powierzchowność. Może to, co rzeczywiste, ma swoje przebiegi gdzieś obok i stało się przezroczystym tłem, na który rzutują pozory przeżyć. Ten śnieg, przez który tak uparcie brnąłem, nie wiadomo po co, był tylko pozorem, uludą, która jednak tchnęła jakimś spokojem i stałością. A przecież musiałem zdawać sobie sprawę, że ta świeża biel to także wytwór moich poszukiwań utraconych wspomnień o marzeniach, które u zarania wszechogarniających potencjalności potrafiły przyoblec w miąższ spełnienia każdy sen.

Od tamtego czasu nie raz ulegałem pokusie ucieczki... Dlatego żyję w czasie wtórnym, a czas tylko wtedy jest płodny, gdy znamionuje go dziewiczość, pierwotność. W powieści czesko-niemieckiego pisarza, Johannes Urzidila, Kafka nie zmarł w Pradze, wyjechał incognito do Nowego Jorku i tam, na Long Island, długo po napisaniu *Przemiany* przeistoczył się, ale nie w „potwornego robaka”³, lecz ogrodnika o przydomku Key: „Nie zapomniał bynajmniej swych początków literackich, ale nigdy do tego nie wracał”⁴. Kogo zatem pochowano na cmentarzu żydowskim w Pradze? Zdaniem Urzidila miał to być sobowtór autora *Procesu*. Tak, trzeba zabić i pochować swego sobowtóra, żeby stać się kimś innym, napisać siebie na nowo, by stać się wreszcie sobą prawdziwym. Niestety, znalazłem się w najgorszym etapie życia: za młody na śmierć, ze stary na marzycielstwo.

Nie pozostaje mi nic innego, jak brnąć przez śnieg. Pamiętam, zagarniałem dookoła biel, wytyczałem intymne refugium, ufając, że te moje, pozornie logiczne zabiegi uchronią mnie przed strywalizowaniem przez czas.

Śnieg afirmuje samotność, jest spowity w proste znaczenia, którym narzucałem się bezskutecznie swą samoświadomością. Nawiedzało mnie przecucie niestabilności

³ F. Kafka, *Wyrok*, przeł. J. Kydryński, Warszawa 1992, s. 19.

⁴ J. Urzidil, *Miedzioryt ze słoniem*, przeł. M. Gero, Warszawa 1972, s. 303.

zamkniętej w nieznanym mi formie – śnieg jest i go nie ma. To zjawisko zarazem chwilowe i pozaczasowe. Przywierałem do niego ze swoimi wątpliwościami, żywiąc nadzieję, że odkryję odpowiedź o zasadniczym znaczeniu. Ale przecież ledwie rozpoczął się pierwszy dzień roku i świat spoczywał w biernej bezmyślności.

Niewiele mogłem się spodziewać po tym dniu. Dookolna biel ujawniała wewnętrzne sprzeczności skupiające się w jednym impulsie przecucia – identyczna, zdawałoby się, barwa, niesie całą gamę treści w zależności od miejsca, w którym aktualnie kolor się nasuwa pod spojrzenie. Dlatego biel lasu uzmysłowiła mi, jak dalece to miejsce, skądinąd tak mi dobrze znane, jest przestrzenią zasklepioną we własnej wsobności, wykreśloną przez moją skłonność do mizantropii. Dzień przełamany się szarością, emanował pustką, a wszelkie starania, by nadać jej bodaj pozorów sensu, roztopiały się w milczeniu lasu. Poczulem obecność granicy, za którą potrzeba racjonalizowania stacza się w obłąd. Może zbyt wiele oczekuję po rozumie, próbując doszukiwać się sensu w ruchu śniegowych płatków – ich swobodnym lotem tak hojnie obdarowało mnie niebo. Niepowtarzalność śnieżynek fascynowała mnie od dziecka, tkając koronkową draperię zdawały się zjawiskiem ze snów. Można rzec: był tylko śnieg równo opadający z chmur i czas. Czas, który znieruchomiał w niepewnym oczekiwaniu. Każda śnieżynka stawała się chwilą przywołującą marzenie, które natychmiast odnajdowało swój kres.

Kontemplując lot białych płatków, ten napowietrzny *danse macabre*, widziałem w nim swoje życie: jedne śnieżynki przelatowały między moimi palcami, inne, dotykając wyciągniętej dłoni, rozpląwały się niepostrzeżenie. Były czystą potencjalnością – nic nie potwierdzały, niczemu nie przeczyły, niosły sugestię czegoś, czego, być może, wcale nie ma, a jednak pozostawia niezatarty ślad w pamięci. Paradoks? Niekoniecznie. Przyszłość skrywa się za zasłoną iluzji i marzeń. Ile jest chwil wartych zapamiętania? Pamięć rządząca się niepojętymi prawami rejestruje zdarzenia nieistotne, które właśnie przez swą błahość potrafią wydobyć z biografii jej niepowtarzalny rys. Patrząc w przeszłość, gonię za widmami, co do których nie mogę mieć nawet cienia pewności, że są moje. „Widmowość – tak ujął to Agamben – jest formą życia. Życia pośmiertnego albo uzupełniającego, które zaczyna się dopiero wtedy, kiedy wszystko się skończyło, i ma zatem w porównaniu z życiem niezrównany urok oraz zaradność właściwe temu, co się spełniło, wdzięk i precyzję tego, przed czym nic już nie stoi”⁵.

⁵ G. Agamben, *Nagość*, przeł. K. Żaboklicki, Warszawa 2010, s. 50

Pierwszy dzień kalendarza pochłaniał mnie z każdym moim krokiem. Z siłą epifanii narzucał się urywek z Wojaczka: „Już nie wiem, jak to nazwać, co ze mnie ubywa”⁶. Las pomału otwierał się przede mną, wyrastał na centrum wszechświata. Odkryłem na nowo to dziwne miejsce, a „były tam dźwięki splecione z płaczem czasów”⁷. Ale miejsce, które z taką intensywnością się uobecniało, okazało się jednocześnie zbyt odległe, by można w nim rozpoznać znajome głosy. Jego obraz, kształt otaczało coś nieoczywistego, czego język nie potrafił uchwycić. Było czystą tęsknotą. Zaczęło dochodzić do mnie – odczuwałem niepokojący napór lęku – że staję się mimowolnym skazańcem na zawsze uwięzionym w krypcie⁸ własnych pragnień. Osaczony przez fantasmagorie zacząłem tracić z oczu bezpieczną drogę powrotu. Zagubiłem się we własnych złudzeniach, powtarzałem tylko: „jest ja / ale mnie nie ma / jest zimno”⁹, bowiem ktoś normalny wybiera się do lasu w Nowy Rok.

⁶ R. Wojacek, *Jest biel* [w:] tenże, *Wiersze zebrane 1964–1971*, Wrocław 2008, s. 321.

⁷ A. Biely, *Petersburg*, przeł. S. Pollak, Warszawa 1974, s. 298.

⁸ G. Agamben, *Profanacje*, przeł. M. Kwaterko, Warszawa 2006, s. 70.

⁹ R. Wojacek, *Sezon*, s. 9.